

Tomasz Rowiński: Umieranie do życia

Na widok zakonnika w habitcie, przepasanego sznurem z koronką franciszkańską i krzyżykiem, strażnik więzienny wpadł w szal. Chwyił za krzyż i zaczął nim okładać ojca Maksymiliana. Zapytał: „Czy wierzysz w Chrystusa?” „Tak” – padła odpowiedź – opisuje Tomasz Rowiński w „Teologii Politycznej co Tydzień”: Świadek.

Kiedy zaczęło się umieranie św. Maksymiliana Kolbe? Gdy został zamknięty w komorze głodowej w obozie w Auschwitz? Gdy aresztowano go po raz drugi, co poruszyło dynamikę zdarzeń, które doprowadziły do śmierci franciszkanina? A może wtedy, gdy w obozie odezwała się stara śmiertelna choroba – gruźlica? Może wreszcie po prostu całe życie tego człowieka było przygotowaniem do heroizmu silniejszego niż śmierć? Dobry Bóg tylko to wie. Nam pozostaje śledzić te strzępy informacji, które układają się w prawdziwą opowieść o człowieku. Obozowa historia o. Kolbego na zawsze pozostanie już świadectwem, które nie pozostawi nas obojętnymi. Dziś jaśniej ona chwałą – jest czymś co wręcz wydaje nam się nadprzyrodzone w sposób dotykalny, widzialny, opromienione. W tamtych dniach jednak, dla bohaterów tych wydarzeń, musiała mieć smak piekła.

Aresztowanie

Ostatnia droga o. Maksymiliana Kolbego rozpoczęła się siedemnastego lutego 1941 roku, czyli w dniu drugiego aresztowania. Jak wyglądał ten moment? Około godziny dziewiątej do Niepokalanowa przyjechały dwa samochody, z których wysiedli SS-mani. W większości umundurowani, jeden po cywilu. Chcieli rozmawiać z ojcem Kolbem, którego telefonicznie poinformowano o przybyciu Niemców. Był w pierwszej chwili zaskoczony jednak zaraz powierzył się opiece Matki Bożej.

Niemcy szukali wyraźnie pretekstu zatrzymania, wypytywali o edukację młodych kleryków w Niepokalanowie. Nic takiego jednak nie miało miejsca – od wybuchu wojny Niepokalanów nie przyjmował nowych kandydatów. Tłumaczenia te nie miały znaczenia – grupa braci została zatrzymana.

Choć o. Kolbe sprawiał tego ranka wrażenie zaskoczonego to inne świadectwa mówią, że spodziewał się aresztowania – spotykał się ze współbraćmi, kończył niedomknięte rozmowy. Jakby się żegnał. Jednego z braci obudził w środku nocy by dokończyć temat jaki omawiali. Do samego aresztowania doszło na podstawie sfałszowanego donosu przypisanemu jednemu z byłych braci zakonnych.

Pawiak

Świadectwa z tego okresu mają ograniczony charakter. Wiemy, że franciszkanie przez pewien czas przebywali razem w celi. Dopiero pod koniec lutego, pod bardzo restrykcyjną kontrolą cenzury, o. Kolbe pisze list do jednego z braci: „Niech wszyscy Bracia dużo i dobrze się modlą,

pilnie pracują i niech się nie martwią, ponieważ bez wiedzy i woli Dobrego Boga i Niepokalanej Dziewicy nic się stać nie może”. Niedługo potem jednak o. Kolbe zostaje przeniesiony do celi podwójnej, gdzie przebywa razem z muzułmaninem, Tatarem Janem Szegidowiczem. W marcu miał miejsce incydent w czasie którego Święty po raz pierwszy został pobity:

„Na widok zakonnika w habicie, przepasanego sznurem z koronką franciszkańską i krzyżykiem, strażnik więzienny wpadł w szał. Chwytał za krzyż i zaczął nim okładać ojca Maksymiliana. Zapytał: „Czy wierzysz w Chrystusa?” „Tak” – padła odpowiedź. Tym razem strażnik uderzył ojca Kolbego w twarz. Ponowił pytanie i usłyszał tę samą odpowiedź. Jeszcze jeden cios i identyczna spokojna replika. Na koniec strażnik wybiegł wzburzony z celi, ojciec Kolbe zaś pogrążył się w modlitwie. Naoczny świadek sceny, Edward Gniadek, zeznał później, iż próbował pocieszać zakonnika, ten jednak odparł: „Proszę się nie denerwować, pan ma wiele własnych kłopotów, a to, co się stało, nie jest nic takiego, bo to wszystko dla Mateczki Niepokalanej.”

Nic właściwie nie wiemy o przesłuchaniach o. Kolbego w tym czasie. Z kolejnych tygodni docierają tylko nieliczne fragmenty kartek jakie przychodziły z więzienia do współbraci. „Dziś zaczyna się piękny miesiąc maj, który jest poświęcony Matce Bożej”. Ostatnia zawiera praktyczną prośbę: „Proszę mi przysłać ubranie cywilne. Piszę to z polecenia pana komendanta”, ale i duchową wskazówkę: „Pozwólmy się wszyscy Niepokalanej coraz doskonalej prowadzić, gdziekolwiek i jakkolwiek Ona nas chce postawić, aby przez dobre spełnianie naszych obowiązków przyczynić się do tego, aby dla Jej miłości wszystkie dusze zostały pozyskane”.

Odkrywanie męczeństwa

Wiemy, że 28 maja 1941 roku o. Maksymilian Kolbe razem z trzystu dwudziestoma innymi więźniami Pawiaka został bydłącym wagonem skierowany do obozu Auschwitz. Świadectwa mówią, że jechali zupełnie ściśnięci wiele godzin a o. Kolbe rozpraszał „śmiertelną ciszę” śpiewem Maryjnych pieśni.

Podobno wiadomość o przybyciu do obozu o. Maksymiliana szybko rozeszła wśród więźniów budząc niejednoznaczne uczucia. Jednym obecność tak znanego i słynącego z pobożności kapłana dawała otuchę, innych przyprawiała o większą jeszcze rozpacz, ponieważ oznaczała, że okupant nie cofnie się przed żadnym krokiem, ani przed żadną świętością.

Sytuację w jakiej znalazł się o. Kolbe dobrze obrazują słowa jakie więźniowie usłyszeli na pierwszym apelu od zastępcy komendanta obozu Maxa Fritzscha. Zapowiedział on, że Żydzi nie mają prawa przeżyć w obozie dłużej niż dwa tygodnie, a księża miesiąc. Wydaje się, że ten właśnie moment mógł mieć zasadnicze znaczenie w decyzji jaką kilka miesięcy później podjął Maksymilian Kolbe by oddać życie za Franciszka Gajowniczka. Świadomość nieuchronności śmierci może wywołać dwie zasadnicze reakcję – rezygnację, poddanie się, porzucenie formy życia lub przeciwnie – umocnienie tożsamości, która daje oparcie, odświeżenie źródłowej motywacji, rodzaj nawrócenia. Wręcz narzuca się tu antropologiczny opis drogi do męczeństwa Tomasza Becketa jaki możemy znaleźć w jednym ze studiów Victora

Turnera. Nieuchronność – po ludzku mówiąc – katastrofy, ożywia pokłady wolności, którą daje łaska stanu, sakramentu. Otwiera się droga, która jest pełna choć wprost prowadzi przez śmierć.

Praca od początku była ciężka, panowało ogólne przerażenie. Noszono piasek i kamienie, a dla księży była specjalna ścieżka reedukacyjna. Kapo komanda Babice, do którego należał o. Kolbe kazał nosić Świętemu jak najszybciej ciężkie bale, a gdy ten upadał kopał go dopóki więzień nie powstał. Gdy inni więźniowie chcieli mu pomagać odmawiał. Kierował się bowiem troską o ich los – pomaganie było zakazane i w najlepszym razie mogło zakończyć się pobiciem. Czas pokazywał, że to nie franciszkanin potrzebował wsparcia, ale sam stawał się pocieszycielem dla innych więźniów. Dzielił się jedzeniem, spowiadał, umacniał duchowo. Dzielenie się żywnością w warunkach obozowych było zgodą na śmierć. Można powiedzieć, że Kolbe związał swój los z obozem na życie i śmierć znacznie wcześniej niż miał miejsce pamiętny apel i pamiętna męczeńska decyzja. Być może wiedział, że odnawia się w nim gruźlica i zdał sobie sprawę, że jego obecność w tym ludzkim piekle jest powołaniem, ponieważ nic nie dzieje się bez wiedzy Niepokalanej. Szanse by żywy opuścił obóz były niewielkie. Zatem Kolbe nie był szaleńcem – lecz realistą.

W tym właśnie kontekście warto poruszyć jeszcze jeden wątek. Często historycy i publicyści posługują się analizą wydarzeń, docieraniem do faktów, czy okoliczności po to by podważyć świętość czy też działanie czynnika nadprzyrodzonego. Ten jest traktowany jako całkowicie nieuwarunkowane tchnienie, a naturalne okoliczności mają go wykluczać. Tymczasem trzeba pamiętać, że katolicka perspektywa świętości, heroizmu wiąże łaskę z naturą w taki sposób, że ta pierwsza udoskonala drugą. Są one jakby nieodłącznymi towarzyszkami

ludzkiego życia. To, co nas spotyka jest zawsze rodzajem propozycji przyjęcia Bożego działania. Dlatego podkreślam te wątki, które pokazują nam jak wielce jest prawdopodobne, że o. Kolbe zdawał sobie z tego, iż znajduje się na ostatniej prostej swojego doczesnego pielgrzymowania. Zdawał sobie sprawę, że podejmując do końca powołanie kapłańskie, znając stosunek hitlerowców do księży, ale też widząc pogarszający się stan swojego zdrowia, został wezwany do jakiejś formy ostatecznego świadectwa.

W czerwcu o. Kolbe czuł się gorzej, wychudł, ale jednemu ze współwięźniów mówił: „...przecież duszy w nas nie zabito, przecież my, pasiaki, nie jesteśmy czymś innym od naszych prześladowców, godności w nas nie zabito, godności katolika, Polaka.” Wytrwale też modlił się za tych których ciała wywożono do krematorium. W tym czasie został też wychłostany do nieprzytomności, współwięźniowie musieli go zanieść do baraku. Po tym wydarzeniu o. Maksymilian trafił do obozowego szpitala, który był niczym więcej jak umieralnią. Tego miejsca żywym się nie opuszczało, a jednak stało się ono na krótki czas miejscem żywej działalności duszpasterskiej i apostolskiej o. Kolbego. Udało mu się nawet odprawić tam – prawdopodobnie ostatnie w życiu – Msze. Ze szpitala przeniesiono go do bloku dla inwalidów, który także stanowił miejsce powolnej śmierci – ludzi tam nie leczono za to podawano tylko połowę racji żywnościowej. A jednak św. Maksymilian Kolbe przebywał tam tylko tydzień, potem wrócił do zwykłych baraków, tym razem na blok czternasty.

Waga życia

Zaledwie kilka dni później z tego właśnie bloku uciekł więzień. Był to, w krótkim czasie, kolejny już taki przypadek. Wszystkich więźniów wezwano do apelu. Na placu stali cały dzień. Wielu przewracało się bez sił i byli wynoszeni. O. Kolbe pomimo słabego zdrowia przetrwał. Podczas wieczornego apelu było już wiadomo, że ucieczka się udała i że nastąpi selekcja więźniów. Dziesięciu zostanie skazanych na śmierć za zniknięcie tego jednego. Wyboru nieszczęśników dokonywał ten sam zastępca komendanta obozu Karl Fritzsch.

Bardzo obrazowo kluczowy dla tej historii moment opisał francuski biograf o. Maksymiliana Kolbe Phillippe Maxence: „Zaczął się przechadzać od szeregu do szeregu, wybierając ofiary. Wskazany więzień występował trzy kroki przed szeregiem, po czym odchodził na bok. Ci, których Fritzsch pominął, oddychali z ulgą, nie mogąc uwierzyć, że los ich oszczędził. Esesman zaś szedł dalej, napawając się widokiem przerażonych twarzy. Kontynuując wyrafinowaną torturę, dotarł w ten sposób do piątego szeregu. Stał przed jednym z więźniów, sprawdził stan jego uzębienia, jakby badał konia, i... rozmyślił się. Minął ojca Kolbe go i wkrótce wybrał dziesiątą ofiarę. Pozostali odetchnęli, współczując nieszczęsnym towarzyszom niedoli. Wtem rozległ się szloch. Jeden z więźniów wołał, że osierocił dzieci i żonę. Stanąwszy w obliczu tego co nieuchronne, sierżant wojska polskiego Franciszek Gajowniczek myślał o rodzinie i prosił, by nie skazywano go na śmierć. Czymże były jego łzy i błagania wobec nienawistnej obojętności esesmanów, dla których był jedynie więźniem jak każdy inny, czyli ludzkim ścierwem? Nagle z szeregów wystąpił pochylony mężczyzna i ruszył w kierunku Fritzscha. Kapo kazał mu się zatrzymać, strażnicy wycelowali weń karabiny i nawet zastępca komendanta sięgnął po rewolwer. Więzień spokojnym głosem rzekł, że chce rozmawiać z Schutzhaftlagerführerem. Ruszył dalej i stanął przed oficerem na

baczność. Na chwilę role jakby się odwróciły. Oniemiały Fritzsch zapytał, czego chce. Mężczyzna odpowiedział po niemiecku, że ma prośbę. Zakrawa na cud, że za to zuchwalstwo nie został od razu zastrzelony. Fritzsch zaciekał się i usłyszał słowa, w które trudno mu było uwierzyć. Więzień wskazał ręką na Gajowniczkę i powiedział, że chce umrzeć zamiast niego. Spokojnie tłumaczył, że jest stary i chory, że jest księdzem i nikogo nie osieroci, podczas gdy Franciszek ma rodzinę, jest młody i zdrowy.”

I właściwie to wszystko, oprawca się zgadza, według świadków mówi do Kolbego „per pan”, choć chwile wcześniej nazwał go świnia. Nie zmienia to oczywiście faktu, że dziesięciu nieszczęśników poszło do głodowej piwnicy. I znów scenariusz był podobny jak w bydłym wagonie, jak w umieralniach. Ludzie gromadzą się wokół Świętego. Najpierw krzyczą, złorzeczą, rozpacz doprowadza ich na granicę szaleństwa. Z czasem jednak te krzyki przemieniają się w śpiew ku czci Matki Najświętszej. Z głodowego bunkra zamiast wrzasków potępieńców cały obóz słyszał pieśń chwały Bożej.

Po dwóch tygodniach głodujących było już tylko czterech w tym o. Maksymilian, który przecież powinien umrzeć w pierwszej kolejności – niemłody już, schorowany. Dobito go zastrzykiem z fenolu przed godziną trzynastą 14 sierpnia 1941 roku. Jego zwłoki zostały spalone a prochy rozrzucone. Tak wyglądał swoisty świecki rytuał potępienia, skazanie na zapomnienie, na przekleństwo niebytu.

A jednak Bóg posłał swojego syna i upomniał się o niego – nie pozostawił go w dole śmierci, ale wyniósł go do swojej chwały gdzie przebywa i oręduje za nami. Świadectwo życia św. Maksymiliana Kolbe

mówi nam jednak jeszcze coś - dotyczy nie tylko wymiaru indywidualnego heroizmu, ale jest przykładem tego jak cywilizacja chrześcijańska odradza się choćby na granicy piekła, jeśli tylko chcą jej służyć ludzie odważni i pokorni, służący swemu powołaniu sprawiedliwie i otwarci na łaskę. Jeśli zaniedbujemy sprawiedliwość, lękamy się światowej niepomyślności, heroizm o. Kolbego nie będzie z pewnością usprawiedliwieniem dla nas. Realizm i roztropność nie oznacza bowiem kompromisu dotyczącego zasad nienegocjowalnych w życiu. Każdy może sobie postawić to pytanie. Czy pamiętamy jeszcze, że świętość jest wyzwaniem, naszym osobistym Westerplatte.